

Czermiński, Adrian

Lata chmurne, lata górne : (fragment większej całości)

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 12/3, 413-430

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ADRIAN CZERMIŃSKI

LATA CHMURNE. LATA GÓRNE¹

(Fragmenty większej całości)

MIĘDZY WARSZAWĄ A KRAKOWEM

Wychodzący w Krakowie „Dziennik Polski” w 198 numerze z dnia 21—22 lipca 1946 r. podał następującą wiadomość: „Z dniem 22 lipca br. pismo nasze uruchamia stały Oddział Redakcji w Warszawie w gmachu »Czytelnika« przy ul. Wiejskiej 14 — Telefony Redakcji 879—37 i 851—48. Kierownictwo oddziału »Dziennika Polskiego« objął red. Adrian Czermiński”.

Kierownictwu redakcji „Dziennika Polskiego”, a w szczególności red. Stanisławowi Witoldowi Balickiemu, bardzo zależało na tym, aby mieć w Warszawie swój oddział, gdyż doskonale redagowany „Dziennik” pretendował do roli pisma ogólnopolskiego, Warszawa zaś była centrum, z którego wychodziły te wszystkie informacje, bez których nie mogło się obejść żadne szanujące się pismo. To, że Balicki powierzył mi zorganizowanie warszawskiego oddziału, wynikało zarówno z dawniejszej mojej współpracy z „Dziennikiem Polskim”, kiedy w 1945 r. nadawałem do Krakowa swoje korespondencje z Jugosławii, jak i z faktu, że pracując w PAP-ie znajdowałem się niejako u źródła wszystkich wiadomości.

Systematyczną współpracę informacyjną i publicystyczną z „Dziennikiem Polskim” rozpocząłem w marcu 1946 r. za wiedzą red. Julii Mincowej, Redaktora Naczelnego Biuletynu Krajowego PAP. Polegała na posyłaniu do Krakowa różnego rodzaju artykułów i na codziennym przekazywaniu drobnych informacji drogą telefoniczną, a może i PAP-owskim dalekopisem, nie pamiętam już tego. Szczególnie nadawanie informacji było dla „Dziennika” sprawą pierwszorzędnej wagi.

¹ Pierwsza część wspomnień dotycząca lat 1945—1947 ukazała się w „Roczniku Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego”, t. 10, z. 1, s. 97—123.

Nadawane przeze mnie wiadomości i informacje były dziennikarskim opracowaniem biuletynu PAP (a potem i SAP). Chodziło o to, aby po przyjęciu ich w Krakowie mogły iść od razu do składu i na kolumny. W tamtych czasach nadawanie ich telefonem było bardzo potrzebne, gdyż środki łączności między Warszawą a Krakowem pozostawiały wiele do życzenia, podobnie jak łączność innych wojewódzkich pism z Warszawą. Dalekopisy niejednokrotnie zawodziły, a nadchodzący pocztą materiał prasowy bywał z reguły opóźniony. Poza tym przeczytanie w Krakowie wielokartkowych materiałów nadawanych przez PAP, wyselekcjonowanie z nich najważniejszych wiadomości i opracowanie w taki sposób, aby mogły zmieścić się na szczupłych kolumnach „Dziennika Polskiego” było przyczyną, że pismo nie było w stanie dotrzymywać kroku prasie warszawskiej, otrzymującej te i inne materiały na bieżąco, a zatem mającej czas, aby je przygotować do druku.

Będąc na miejscu, w PAP-ie, miałem do dyspozycji kartki biuletynu w miarę, jak powstawały. Poza tym jako redaktor dyżurny wieczornej zmiany byłem w nieustającym kontakcie z kierownictwem redakcji krajowego biuletynu PAP i trzymałem rękę na pulsie aktualnych wiadomości. Byłem więc dla „Dziennika Polskiego” cennym informatorem stołecznym, a moje dziennikarskie opracowanie PAP-owskich i innych materiałów, nadawanych telefonem, ułatwiało pracę krakowskiej redakcji i zapewniało jej operatywność.

Do jakiego stopnia tego rodzaju telefoniczne przekazywanie informacji i wiadomości warszawskich prasie terenowej było w tym czasie powszechne dowodzi to, że wielu dziennikarzy warszawskich współpracowało w ten sposób z pismami wojewódzkimi. Niektórzy ułatwiali sobie pracę w ten sposób, że nadawali telefonem lub wysyłali okazją ten sam tekst powielony przez kalkę na bibułkach. Ma się rozumieć, że ci „wielowarsztatowcy” pobierali od każdej redakcji honorarium takie samo, jak za informację czy wiadomość przesłaną na wyłączny użytek danego pisma. Ale nikt nie czynił im z tego zarzutu, gdyż pisma wojewódzkie potrzebowały tego rodzaju materiałów, chociażby powielonych.

Widząc dobre wyniki mojej współpracy z „Dziennikiem Polskim” zwróciła się do mnie red. Lidia Kasmanowa, której mąż Leon Kasman redagował wtedy „Trybunę Robotniczą”, żebym opracowywał dla tego pisma podobne informacje i skróty z PAP-u oraz przysyłał je telefonem do Katowic. Uważając, że tego rodzaju praca byłaby nieojojalnością w stosunku do „Dziennika Polskiego”, mającego czytelników z pokrewnych terenów, odmówiłem mówiąc, że nie chcę pracować na dwa fronty: te same czy podobne materiały, nawet w nieco innym redakcyjnym opracowaniu, ukazujące się równocześnie w Krakowie i w Katowicach — to nieojojalność w stosunku do Balickiego, z którym współpraca układała

mi się bardzo dobrze i z której nie chciałem rezygnować na rzecz „Trybuny Robotniczej”.

Współpraca moja z „Dziennikiem Polskim” jako publicysty obejmowała różnego rodzaju materiały, sygnowane moim imieniem i nazwiskiem i podawane jako „Telefonem od własnego korespondenta” lub jako „Korespondencja własna »Dziennika Polskiego«”. Były to korespondencje z najrozmaitszych dziedzin: politycznych, społecznych i kulturalnych. Tak np. 18 stycznia 1946 r. ukazała się moja korespondencja *Kraj stał się chłopski*, napisana po Kongresie Stronnictwa Ludowego, który się odbył w Warszawie. Podawałem w niej obraz i przebieg obrad Kongresu, który zgromadził działaczy ruchu chłopskiego z całej Polski oraz przedstawicieli chłopów polskich znajdujących się w Związku Radzieckim wraz z generalnym sekretarzem Związku Patriotów Polskich.

„Już w przeddzień Kongresu zjechały się do stolicy tłumy chłopów — relacjonowałem. — Na ulicach pojawiły się wiejskim krojem uszyte ubrania, sukienne kaszkiety, niemodne kapelusze i juchtowe buty, świadczące o tym, że ci, którzy przyjechali radzić nad sprawą chłopską, oderwali się wprost od pługa czy od młocki”. Referując dyskusję kongresową napisałem: „Widzimy, że to nie parada chłopska zebrana na wesele krakowskie w sukmanach i z pawimi piórami, nie potulna masa wyborcza, potakująca każdemu słowu swego przywódcy, że to prawdziwy rdzenny chłop, który przybył do swej stolicy radzić nad swymi sprawami”. — Ten ustęp redakcja „Dziennika Polskiego” specjalnie wytłuszczyła zaopatrząc go wybijającym się nagłówkiem.

W zakończeniu sprawozdania kongresowego wspomniałem, że kiedy miało się rozpocząć jedno z popołudniowych posiedzeń, zgasło światło. Przed zamkniętymi drzwiami „Romy” (sali kinowej, w której odbywały się wtedy wszystkie zjazdy) tłoczyli się na mrozie delegaci, natarczywie domagając się wpuszczenia na salę. „Tymczasem straż porządkowa szuka światła, aby sprawdzić legitymacje i zaproszenia. Znajdują się nareszcie świece i w półmroku zasiadają chłopci do dalszych obrad. Niepewne światło świec nie przeszkadza nikomu. Czują się jeszcze bardziej zadowoleni, jak gdyby pewniejsi. Półmrok przypomina dalekie wiejskie izby[...]

Po zakończeniu obrad idą zobaczyć, jak wygląda wielkie miasto w nocy. Ale Warszawa już nie jest tym wielkim, bawiącym się i iskrzącym światłami miastem, o którym tyłu słyszało tyle legend.

Dzisiejsza, zburzona Warszawa śpi spokojnie i cicho, jak pierwsza lepsza wioska — pisałem. — Delegaci idą pustymi, nie zawsze oświetlonymi ulicami i zatapiają się w noc, tak dobrze znaną każdemu mieszkańcowi wsi.

— To miasto staje się chłopskie — mówią — tak jak chłopski stał się kraj. To jest teraz naprawdę nasza stolica.

A młodzi marzą: że nie minie wiele czasu, a rozświetlą elektrycznymi lampami nie tylko Warszawę, ale wszystkie, nawet w najdalszym zakątku kraju położone wsie. Aby nie było już różnicy pomiędzy wsią a miastem”.

Tak pisało się sprawozdania kongresowe w 1946 r.

A oto inna moja „Korespondencja własna »Dziennika Polskiego«” z 4 kwietnia 1946 r. pod tytułem: *Oglądamy bitwę pod Grunwaldem* — ma się rozumieć nie żaden film, tylko rekonstrukcję Matejkowskiego obrazu:

„W odnowionej niedawno »Zachęcie« warszawskiej, zamienionej na wielką pracownię konserwatorską, leży na linoleum podłogi olbrzymie, przypominające zielonkawym kolorem odmęt morski płótno, wzdęte gdzieniegdzie od wilgoci, będące ongiś obrazem Matejki. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że poza zamazanymi konturami nie ma już nic na obrazie. Leżące u stóp pięciometrowej szerokości i kilkanaście metrów długie płótno wygląda jak otchłań wodna, opalizująca różnymi barwami. Wśród niej, niby spieniony bałwan, wytryska biały płaszcz krzyżackiego Wielkiego Mistrza i mieni się przedziwnymi okami barw pęk pawich piór u jego szyszaka. W centralnym punkcie obrazu rdzawa plama szaty królewskiej Jagiełły i rozwinięty sztandar z wyblakłym zupełnie orłem. Reszta — to chaos jakichś szczegółów zaprzepaszczonych w zmętniałej, nieżywej zupełnie barwie”.

Przytaczam ten mój opis „Bitwy pod Grunwaldem”, gdyż komu tam zechciałoby się szperać w pozótkłych archiwach „Dziennika Polskiego”, a takiej wizji obrazu Matejki nikt nigdy już nie zobaczy!

W dalszym ciągu wspominałem o sposobach konserwacji obrazu i o legendach krążących na temat przechowywania obrazu Matejki podczas okupacji. Mówiono m. in., że obraz ten spoczywał w szklanej rurze na dnie Wisły. Tymczasem „Bitwa pod Grunwaldem” i „Kazanie Skargi” — opowiadają dziennikarzom dyrektorzy Lorentz, Marconi i Zachwatowicz — zostały z końcem sierpnia 1939 r. nawinięte na wałek drewniany i zapakowane, po czym 7 września 1939 r. wywieziono je z Warszawy. Eskortę obrazów stanowili artyści malarze Stanisław Eysmont i Bolesław Surafko Gajduczeni, którzy zginęli w czasie nalotu. Droga do Lublina trwała dwa dni. Obrazy ukryto w Muzeum Miejskim za książkami. Po zajęciu Lublina przez Niemców obrazy zostały przewiezione furmanką do domu Taborów Miejskich i zamurowane w piwnicy, gdzie przeleżały cały czas okupacji. Po oswobodzeniu Lublina w dniu 13 listopada 1944 r. zostały odmurowane i przekazane opiece Rządu.

Równocześnie z „Bitwą pod Grunwaldem” odnawiano w „Zachęcie” lepiej zachowane „Kazanie Skargi” oraz obrazy Matejki „Bitwa pod Pskowem”, „Rejtan” i „Unia Lubelska” — poskładane przez Niemców

w barbarzyński sposób jak prześcierało na 18 części, co wywołało uszkodzenie farby i gruntu na załamaniach. „Bitwę pod Pskowem”, „Rejtana” i „Unię Lubelską” wywieziono 6 września 1939 r. z Zamku Królewskiego w Warszawie do Łucka i umieszczono w szopie. Po zajęciu miasta Niemcy przepakowali obrazy i wysłali do Lwowa, gdzie nawinięto je z powrotem na wałki, a kiedy front zaczął się cofać, odtransportowano do zamku w Wiśniczu pod Krakowem, skąd — zimą 1944 r. — powędrowały do Hain koło Jeleniej Góry. Tam w małej restauracyjce górskiej odnalazł je dyr. S. Lorentz. Miejsce odnalezienia obrazów zostało przemianowane na Matejkowice dla upamiętnienia tego faktu.

Sprawy rewindykacji dzieł sztuki zrabowanych z naszych muzeów przez okupanta i wywiezionych do Niemiec zajmowały wiosną 1946 r. wiele miejsca w prasie i poruszały opinię publiczną na równi z wiadomościami o toczącym się wówczas procesie norymberskim przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym.

Na konferencji prasowej (30 III) prokuratorów Sawickiego i Cypriana pokazano dziennikarzom akt oskarżenia wygotowany w sprawie zrabowania Ołtarza Mariackiego Wita Stwosza i wniesiony do Międzynarodowej Komisji Zjednoczonych Narodów dla Spraw Zbrodni Wojennych. Akt sporządzono w języku angielskim. Figuruje na nim dr Paulsen, profesor historii sztuki, który z ramienia generalnego gubernatora zajmował się „zabezpieczaniem” polskich dzieł sztuki, dr H. Kohlhausen, dyrektor norymberskiego muzeum narodowego, Eberhardt Lutze, dyrektor muzeum w Norymberdze i Albert Speer — minister Rzeszy. Wymienieni oskarżeni są o rabunek i konfiskatę własności ołtarza Wita Stwosza. Na zakończenie konferencji przypomniano dziennikarzom, że von dem Bach-Żelewski w zeznaniu swoim wymienił winowajców zniszczenia Warszawy, po czym zakończył emfaticznie: „and I” — i ja.

Drugi winowajca wojenny Max Daume przyznał się do rzezi w Aninie w grudniu 1939 r. zaznaczając, że nie żałuje tego wcale i dalej uważa za słuszną i pożyteczną tę akcję przeprowadzoną podówczas.

W korespondencjach moich wysyłanych wówczas do „Dziennika Polskiego” pisałem też o takich wydarzeniach, pasjonujących czytelników gazet, jak otwarcie 7 kwietnia 1946 r. pierwszej po wojnie rozgłośni Polskiego Radia w Warszawie w pałacyku przy Alejach Ujazdowskich czy o zakończonej odbudowie Mostu Poniatowskiego.

REDAKTOR WARSZAWSKI

Po powrocie z olsztyńskiego Zjazdu Dziennikarzy (21—23 czerwca 1946 r.) otrzymałem podpisane przez Balickiego pismo, angażujące mnie z dniem 1 lipca 1946 r. na stanowisko „redaktora warszawskiego”

w „Dzienniku Polskim” — jak brzmiała umowa — z uposażeniem wg kategorii IV (o co rozstałem się z PAP) tj. 5500 zł uposażenia zasadniczego wg Umowy Dziennikarskiej, ponadto minimum zagwarantowanej wierszówki 5000 zł oraz dodatek za 21 lat pracy w zawodzie dziennikarskim 2100 zł i za każdy następny rok o 100 zł więcej, dodatek rodzinny 200 zł oraz dodatek wyrównawczy dla Warszawy 1650 zł (30% od 5500 zł).

Wszystko płatne 15 i 30 każdego miesiąca. Stwarzało mi to świetne warunki materialne, a w dodatku wielką swobodę, jako że pismo określało moją pozycję jasno. Pozostawałem w wyłącznej dyspozycji redaktora naczelnego „Dziennika”.

Do moich obowiązków, zgodnie z ustnym porozumieniem zawartym z Balickim, należało codzienne nadawanie serwisu telefonicznego do Krakowa, obsługa kongresów, imprez i uroczystości, zbieranie bieżących wiadomości warszawskich i organizowanie dla „Dziennika Polskiego” obcego materiału publicystycznego oraz nadsyłanie własnych artykułów i reportaży.

Pracę moją zorganizowałem w taki sposób, że w dzień zbierałem wiadomości miejskie, chodziłem na konferencje i imprezy, przeglądałem serwis PAP-owski i SAP-owski robiąc z nich wyciągi i skróty, aby cały ten całodzienny plon mojej pracy przekazać telefonicznie lub pisemnie redakcji „Dziennika” w postaci gotowej do druku.

Wiadomości telefoniczne nadawałem w godzinach wieczornych, czasem do późna w nocy, najpierw sam, dopiero później otrzymałem zgodę na etat telefonistki, której przekazywałem do przedyktowania ułożony i przygotowany przeze mnie materiał.

Po drugiej stronie drutu, w Krakowie, nadane wiadomości odbierała telefonistka, a przy sprawach ważniejszych rozmawiałem sam z red. Kazimierzem Zimnałem albo z kimś z kierownictwa redakcji „Dziennika”. Najważniejsze wiadomości sygnalizowałem bezpośrednio Balickiemu, omawiając z nim, na co zwrócić szczególną uwagę i co brać natychmiast na warsztat dziennikarski.

Właściwie był to dalszy ciąg mojej współpracy z „Dziennikiem”, prowadzonej od marca 1946 r., tylko w obszerniejszym zakresie i ze specjalnym uwzględnieniem rubryki „Życie Warszawy”. Wszelkie drobne wiadomości sygnowałem moimi literami (ACz), a Kraków podawał je zwykle z adnotacją: „telefonem od naszego (albo własnego) korespondenta”. Niektóre wiadomości sygnowane moimi literami nadawałem z adnotacją „jak podaje PAP”, „SAP” czy któreś z pism warszawskich. Wiadomości te ukazywały się w postaci jedno, dwu, i trzyszpaltówek na pierwszej, drugiej lub trzeciej kolumnie „Dziennika”. Obszerniejsze sprawozdania, korespondencje i reportaże podpisywałem własnym imieniem i nazwiskiem lub tylko inicjałami A. Cz.

Zakres nadawanych przeze mnie wiadomości był bardzo rozległy. Poruszałem sprawy polityki wewnętrznej, zagadnienia społeczne i kulturalne oraz sprawy miejskie, przeważnie dla rubryki „Życie Warszawy”. Zajmowałem się też takimi sprawami, jak sprawozdanie z obrad zgromadzenia prawników obradujących 6 października 1946 r. pod hasłem „Prawo narzędziem przebudowy społecznej państwa”, jak wyjaśnienie prof. Lorentza i dr Gebethnera 15 października 1946 r. o ocaleniu bezcennych zbiorów kultury polskiej, które usiłował wywieźć za granicę Andrzej Potocki. Pisałem też o kształceniu młodego narybku służby zagranicznej na kursach szkoły konsularno-dyplomatycznej przy MSZ, o Kongresie Polaków Autochtonów 11 listopada 1946 r. w 25-lecie Polskiego Związku Zachodniego i o otwarciu radiostacji im. Stefana Starzyńskiego, mającej rozpocząć w dniu 1 grudnia 1947 r. nadawanie audycji. Nadałem wiadomość o śmierci red. Witolda Wolffa, 19 listopada 1947 r., z którym przyjaźniłem się i współpracowałem przed wojną i podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. oraz w czasie okupacji. W tydzień później W. Natanson poświęcił Wolffowi piękne wspomnienie na łamach „Dziennika Polskiego”.

Nadałem też sprawozdanie z Kongresu Stronictwa Pracy 3 grudnia 1946 r. i z obrad Rady Naczelnej PPS 6 grudnia 1946 r. oraz artykuł o przygotowaniach 18 października 1946 r. do procesu Ludwika Fischera, gubernatora Warszawy, wraz ze sprawozdaniem z toczącej się przeciw niemu rozprawy sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie (13 XII 1946 — 9 III 1947).

Pośród tej całej siczki nadawanego drobiazgu można było czasem wyłowić także ciekawsze wiadomości, jak np. o jeńcach niemieckich odbudowujących Warszawę: „26 X 1946 r. z Dolnego Śląska przybyła do obozu na Polu Mokotowskim partia jeńców niemieckich, którzy zostali przeznaczeni do robót przy uprzątnięciu gruzów odbudowującej się Warszawy”. (Inną partię niemieckich jeńców odbudowujących Warszawę sprowadzono w połowie sierpnia 1946 r.).

Nieraz trafiały się też takie notatki, jak np. 14 VIII 1946 wiadomość o „wężu morskim”, który pojawił się w Warszawie na łamach „Dziennika Ludowego”. Pismo to donosiło o pojawieniu się plagi zmij w ruinach Starego Miasta i o atakujących ludzi dziwacznych stworach na bardzo wysokich nogach — skrzyżowaniu zdziczałych królików ze... szczurami! „Tyle słów od umęczonego sierpniową kanikula korespondenta” — dodałem.

Spraw różnych było wiele. W zbieraniu materiału przeszkadzała mi nieco moja równoczesna w tym czasie praca z MSZ, ale jakoś dawałem sobie z tym radę, ku zadowoleniu „Dziennika”. Dowodzi tego list Balickiego z sierpnia 1946 r., w którym całkiem niespodziewanie zapropono-

wał mi dodatkowy ryczałt za dostarczany telefonicznie materiał, niezależnie od uposażenia zasadniczego i minimum zagwarantowanej wierszówki. Zaproponowana mi kwota 10 000 zł miesięcznie stanowiła niemal tyle co wszystkie moje pobory wraz ze wszystkimi dodatkami. Nie pamiętam już, za co miałem otrzymać ten ryczałt, ale wtedy tak się pracowało z Balickim!

Natomiast sprawa lokalu dla Oddziału w Warszawie utykała od samego początku. W gmachu „Czytelnika” na Wiejskiej oddział „Dziennika” był sublokatorom spychanym na szary koniec. O żadnym pokoiku czy własnym biurku, a nawet o zamkniętej szufladzie nie było mowy. Mogłem jedynie korzystać z czytelnikowskiego telefonu, i to tylko w godzinach wieczornych, kiedy nie było nikogo w pokoju. Scharakteryzowałem swą sytuację w jednym z listów do Balickiego, pisany 23 maja 1947 r., w rok po otwarciu oddziału.

„Nie ma gdzie usiąść ani gdzie złożyć materiałów redakcyjnych — pisałem. — Wszystko muszę nosić w kieszeni. Nikt nie wie, dokąd przyjść ani jak telefonować, mając interes do oddziału. Nawiazane kontakty rwą się, gdyż ustalilo się w Warszawie, że oddział »Dziennika« jest nieuchwytną fikcją. Korespondencja ginie, zawiadomienia o konferencjach nie dochodzą, zwłaszcza jeśli powiadamiają telefonicznie, ja zaś nie mam domowego telefonu, mieszkając nadal w służbowym lokalu PAP-u. W razie czegoś pilnego nie ma skąd ani przez kogo zadzwonić do Krakowa. Gdybym miał chociaż najmniejszy pokoik redakcyjny, rozwiązałyby to sytuację [...]”

Toteż dwaj inni korespondenci „Dziennika Polskiego” w Warszawie, mój dawniejszy kolega redakcyjny z PAP-u Marian Woydyłło, występujący jako „korespondent dyplomatyczny Dziennika”, i publicysta Julian Podoski, chodzili własnymi drogami, przekazując swe materiały wprost do Krakowa, bez porozumienia się ze mną. Jedyne Woydyłło zastępował mnie czasem w nadawaniu informacji, kiedy byłem nieobecny w Warszawie.

Specjalnością Woydyłły były wywiady i rozmowy z obcymi przedstawicielami w Warszawie oraz korespondencje z jego wyjazdów zagranicznych, Podoski pisywał ciekawe felietony warszawskie. Trzeba przyznać, że obaj pracowali doskonale i nie przeszkadzaliśmy sobie nawzajem. Ale oddział jako taki właściwie nie istniał, co zresztą odbiło się po roku na mojej dalszej współpracy z „Dziennikiem”.

„Tutaj chcąc zepchnąć »Dziennik« do roli pisma prowincjonalnego — donosiłem 23 maja 1947 r. Balickiemu. — A przecież każdy wie, że »Dziennik« takim nie jest. Przeciwnie, teraz, gdy jest do obsługi i »Dziennik Literacki«, i »Od A do Z«, i »Sport i Wczasy«, konieczny jest ktoś w Warszawie, kto by załatwiał różne sprawy redakcyjne tych pism, a nawet

ogniskował je administracyjnie. Tym bardziej że zwraca się do mnie wiele osób w Warszawie z tym, że nie wiedzą, jak odnaleźć »Sport i Wczasy«, co miało miejsce w związku z ostatnimi wyścigami[...]"

Mimo to nadawane przeze mnie korespondencje i wiadomości ukazywały się regularnie w „Dzienniku”, a prawie każdy numer był pełen materiałów sygnowanych moimi literami.

SEJM

Od końca grudnia 1946 r. wiele miejsca wśród moich informacji, doniesień i korespondencji dla „Dziennika Polskiego” zajmuje sprawa wyborów do Sejmu Ustawodawczego i rozpętanej wokół tego walki wyborczej. Nadaję obszerny reportaż o przebiegu dnia wyborczego w Warszawie, informuję o przypuszczalnym układzie sił w nowym Sejmie, załączając nieoficjalny, ale udostępniony mi spis posłów wedle ich przynależności politycznej, co przedrukowuje „Dziennik”. Sprawy sejmowe zajmują w moich korespondencjach i informacjach coraz więcej miejsca w tym czasie.

Przez całe pierwsze półrocze 1947 r. sprawy sejmowe dominują w moich informacjach i korespondencjach dla „Dziennika Polskiego”. 15 marca nastąpiło pierwsze walne zebranie Klubu Sprawozdawców Parlamentarnych, a wiosną 1947 r. Balicki zlecił mi zajęcie się Sejmem w roli sprawozdawcy parlamentarnego „Dziennika Polskiego”. 10 kwietnia 1947 r. otrzymałem wydaną przez Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej legitymację dziennikarską nr 7, opiewającą na moje nazwisko i imię, jako przedstawiciela pisma „Dziennik Polski” w Warszawie, sprawozdawcy parlamentarnego i członka Klubu Sprawozdawców Parlamentarnych.

Do obowiązków moich należało przeglądanie diariusza sejmowego, robienie z niego wyciągów i posyłanie ich do redakcji „Dziennika”, a w ważniejszych momentach telefoniczne przekazywanie; robienie sprawozdań z posiedzeń sejmowych, konferencji, rozmów z posłami; załatwiania w Sejmie różnych spraw redakcyjnych, zleconych mi przez Balickiego, itp. Sądzę, że zakres mojej pracy przy obsłudze Sejmu, związane z tym obowiązki, a często i kłopoty, najlepiej scharakteryzują fragmenty mego listu (list pisany 23 maja 1947 r.) do Stanisława Witolda Balickiego.

„Sprawy obsługi sejmowej też wymagają omówienia [...] Jak Pan tu będzie, omówimy szczegóły obsługi, co i ile dawać, z kim i na jakie tematy rozmawiać. Obsługa Sejmu pochłaniała bardzo znaczne koszta dodatkowe, czasem kwitowane przez Klub, w razie jakichś oficjalnych przyjęć, a częściej nie, gdy trzeba coś załatwić w tradycyjnym bufecie sejmowym. Dotychczas wydałem — wliczając w to już napiwki dla woźnego — kilka

tysięcy, nawet nie wiem dokładnie ile. Nie wspominałbym o tym, ale przy obecnym wzroście cen w stosunku do niepodwyższonych wynagrodzeń dziennikarskich, stanowi to wielką dla mnie różnicę. Czy nie dałoby się podciągnąć tego pod pozycję wydatków na reprezentację, zastrzeżonych umową dziennikarską?”

SALUT Z 24 DZIAŁ

Dzień 5 luty 1947 r. był dniem wyboru Prezydenta RP, jak głosiła urzędowa nomenklatura. (Dopiero w pięć lat później godność Prezydenta RP została zastąpiona stanowiskiem Przewodniczącego Rady Państwa PRL). Poślany do Krakowa mój reportaż z wyboru Prezydenta został przez „Dziennik Polski” wykorzystany tylko w częściowej formie, zamieszczam go więc w całości, jako że daje sugestywny opis tego, jak ulica warszawska przyjęła ten wybór.

„Już od wczoraj ulica warszawska przybrała odświętny wygląd. Na słupach latarni ulicznych umieszczono chorągiewki o barwach narodowych, z publicznych gmachów zwisają biało-czerwone flagi ozdobione orłami i emblematami partii politycznych. Mniejsze urzędy i biura oraz domy prywatne przybrano chorągiewkami i zielenią. W dniu wyboru Prezydenta RP specjalną uwagę zwraca Aleja Stalina, dawne Aleje Ujazdowskie, na trasie pomiędzy gmachem Sejmu a Belwederem. Od samego rana zaciągnięto straż wzdłuż ulicy. Tędy będzie przejeżdżał Rząd, korpus dyplomatyczny i Prezydent po dokonaniu wyboru.

Na Placu Trzech Krzyży, u wejścia do Alej, całe naręcza chorągiewek o barwach czerwono-białych umieszczono w koszach dwu latarni narożnych. Z gmachu Ministerstwa Odbudowy zwisają olbrzymie flagi narodowe, od wysokości piątego piętra. SPB — Społeczne Przedsiębiorstwo Odbudowy — udekorowało swoją siedzibę tęczowymi sztandarami spółdzielczości. W biało-czerwonych kolorach tonie gmach Polskiego Radia i KW PPR. Powszechną uwagę zwracają domy ambasad brytyjskiej i amerykańskiej, wymownie milczące bez wywieszonych sztandarów.

Na ulicach zadymka. Śnieg pada grubymi płatami jak na otwartym polu. Piesi przekopują się z trudem przez zasypane chodniki. Na jezdniach, pokrytych śniegiem, posuwają się wolno samochody. Grupa pracowników ZOM oczyszcza ulicę, która po chwili tonie z powrotem w masie padającego śniegu. Wicher dmie od Wisły, jak gdyby symbolicznie stamtąd, skąd przyszło wyzwolenie i wznosi białe tumany pyłu. Pejzaż, zupełnie nie warszawski, nasuwa wizję jakiegoś obcego miasta z dalekiej, głębokiej Północy.

Na godzinę 12 w południe wyznaczono posiedzenie Sejmu. Publiczność

na chodnikach Alej i u wylotu ul. Daszyńskiego (Wiejskiej) zamkniętej kordonem milicyjnym, już na godzinę przed tym poczęła się gromadzić, mimo zadymki śnieżnej. O godzinie 12 wyruszyły delegacje poszczególnych ministerstw i urzędów w kierunku Sejmu. Aleje zaroily się grupami niosącymi sztandary i godła swoich związków. Luźny kordon milicyjny zwarł się wzmocniony przybyłą rezerwą. Wszyscy przytupują nogami, pocierając raz po raz uszy i nosy. Gromady młodych dziewcząt członkiń związków młodzieżowych, zaczynają śpiewać. Śnieg pada olbrzymimi płatami przesłaniając świat, wichur wyciska łyżę z oczu.

W naprężeniu oczekiwania upływa godzina za godziną. Uliczne głośniki Polskiego Radia podają co pewien czas wiadomości, że za chwilę zostanie nadany nadzwyczajny komunikat, tymczasem częstując muzyką z płyt. Najpierw rozlegają się dźwięki Chopina, potem — w takt przytupywania setek zmarzniętych nóg — skoczne tony kujawiaka. Komunikatu jak nie ma tak nie ma.

Nareszcie wiadomość, że głosowanie skończone. Prezydentem obrano Bolesława Bieruta wszystkimi głosami posłów znajdujących się na sali z wyjątkiem PSL-owców. Delegacja poselska udaje się do mieszkania nowo obranego Prezydenta, aby zawiadomić go o dokonanej wyborze. Zgromadzona na ulicy publiczność rozpoznaje samochody i poszczególnych ministrów.

W kilka minut po drugiej pokazuje się w Alejach szwadron szwoleżerów z lekko pochylonymi wprzód lancami. Furkoczą zatknięte u góry trójkątne proporczyki. Za oddziałem otwarte auto Prezydenta z proporczykiem zatkniętym na błotniku. Prowadzi wojskowy w oficerskim mundurze. Na tylnym siedzeniu Prezydent Bierut w towarzystwie Premiera Osóbki-Morawskiego. Obaj z odkrytymi głowami, pomimo szalejącego wichru, śniegu i niepogody. Publiczność wzdłuż całej trasy przejazdu samorzutnie wznosi okrzyki. Orszak mknie Alejami i skręca w ulicę Matejki, wprost gmachu sejmowego. Biało-czerwone flagi zwisają z wysokich masztów, na których usiadło czterdzieści Białych Orłów, spoglądając na wjazd pierwszego Prezydenta Odrodzonego Państwa Polskiego.

O wpół do trzeciej rozlega się pierwsza salwa. Potężny grzmot 24 dział wstrząsa powietrzem, strącając z dachów świeżo spadły śnieg. Nad Ogrodem Botanicznym unosi się brązowa chmura, z której wytryska snop kolorowych rakiet, rozpryskujących się wachlarzowato po niebie. Czerwone, zielone i złote gwiazdki, krzyżyki i koła wznoszą się w górę opadając łagodnym łukiem w kierunku Łazienkowskiego Parku. Po chwili detonacja następna i dalsze, aż do 24 salw armatnich.

W urzędach zamarła praca, wszyscy zgromadzili się przy głośnikach w oczekiwaniu na transmisję z wyboru Prezydenta. Tymczasem tylko muzyka i suche komunikaty. Niecierpliwi wyszli na ulicę manifestować sa-

morzutnie. W chwili, kiedy rozległ się odgłos pierwszej salwy, otwarto wszystkie okna, a głowy ciekawych wychyliły się, by obserwować kolorowe pociski.

Zbliża się trzecia. Publiczność na chodnikach oczekuje powrotu Prezydenta do Belwederu. Marzną, ale czekają. Największy tłok w Alejach, naprzeciw wylotu Matejki. Na bramie Centralnego Kasyna Oficerskiego żołnierze umocowują portret Bolesława Bieruta z podpisem: Prezydent RP.

— Równać szereg! — pada rozkaz i wypręża się linia milicjantów. Ponad żelaznymi sztachetami ogrodzenia sejmowego pokazują się czerwono-białe proporczyki — szwadron szwoleżerów poprzedza prezydencki samochód. Orszak wjeżdża w Aleje, wznoszą się czapki i kapelusze, rozbrzmiewa okrzyk »Niech żyje« i wybija się wysoką nutą chóralny śpiew dziewcząt.

Zza Wisły bucha wichur gęstymi kłębami śnieżycy, gwizdże i miecie śnieg pod kopyta końskie. Prezydent Bierut w mroźną, białą zawieję odjeżdża do Belwederu na dalsze siedem lat rządzenia krajem, którym zaczął kierować od pierwszej chwili jego wyzwolenia. Biały puch pokrywa nie odbudowane jeszcze ruiny. Prezydent przejeżdża miastem, które skazane było na zagładę i które wbrew logice, decyzją romantycznego porywu, z powrotem powołał do życia. Tego nie zapomni mu żaden mieszkaniec stolicy!

W godzinach wieczornych na Placu Zwycięstwa, dawnym Saskim, iluminacja, puszczanie rakiet i ogni sztucznych. Olbrzymie czerwone słońce wznosiło się nad zrębami ruin rozświetlając północną część Warszawy krwawą luną. W pewnych chwilach nachodzą reminiscencje powstańczych nocy, rozświetlanych przelatującymi pociskami i luną pożarów Starego Miasta. Ale gdy tamta luna niosła jedynie śmierć i zagładę — ta niesie radość i nadzieję spokoju. Każdy już dzisiaj wie, że ustało pozorne prowizorium, że Polska ma własny, przez większość wybrany rząd. Może wreszcie zrozumieją to i ci, którzy w zaślepieniu rozniecają jeszcze krwawe luny walk bratobójczych. Oby ten dzień 5 lutego stał się dniem wewnętrznego pojednania i oby rozbłysła gwiazda pokoju". Podpisałem A. Cz.

LA PASIONARIA

W natłoku więcej i mniej ważnych wydarzeń nadawanych przeze mnie jedno z pierwszych miejsc zajęło sprawozdanie z przyjazdu do Warszawy słynnej La Pasionarii — Dolores Ibarruri, wybitnej działaczki hiszpańskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, organizatorki utworzonego w 1936 r. Frontu Ludowego w Hiszpanii, deputowanej do

Kortezów, płomiennej mówczyni, zagrzewającej naród hiszpański do walki z dyktaturą generała Franco.

Dolores Ibarruri przybyła do Warszawy 29 kwietnia 1947 r., aby wziąć udział w uroczystościach pierwszomajowych. W chwili, kiedy samolot wiozący La Pasionarię dotknął płyty lotniska, rozległy się dźwięki hymnu polskiego i hiszpańskiego, a wysiadającą z samolotu powitali członkowie rządu, partii politycznych i zagranicznych przedstawicielstw. Następnie Dolores Ibarruri przeszła przed frontem kompanii honorowej, a tłumnie zebrana publiczność wznosiła okrzyki na cześć bohaterki walk o wolność ludu hiszpańskiego.

W dniu 1 Maja od wczesnych godzin ciągnęły ze wszystkich stron na Plac Zwycięstwa tłumy ludzi pod sztandarami swoich zakładów pracy. Każdy chciał zobaczyć i usłyszeć słynną La Pasionarię. Na honorowej trybunie zajęli miejsca przedstawiciele rządu, Sejmu, władz partyjnych i związkowych oraz generalicja z marszałkiem Żymierskim, generałem Spychalskim, Berlingiem i Paszkiewiczem; obok — grupa francuskich działaczy katolickich, przybyłych z wizytą do Polski, Maria Wilk, działaczka rewolucyjna z 1905 r., oraz Dolores Ibarruri powitana oklaskami zgromadzonych na Placu.

Powitalne przemówienie wygłasza przewodniczący Rady Związków Zawodowych, Jan Rustecki, po czym zabiera głos premier Cyrankiewicz imieniem CKW PPS. Z kolei przemawia wicepremier Władysław Gomułka imieniem KC PPR, a w imieniu chłopów polskich sekretarz generalny NKW SL, wicepremier Korzycki. W imieniu inteligencji pracującej zabrał głos przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego Wacław Barcikowski.

Wreszcie zabiera głos bohaterka walczącej Hiszpanii, Dolores Ibarruri La Pasionaria, wygłaszając w języku hiszpańskim płomienne przemówienie. Wchodzącą na trybunę wita burza oklasków. Mówiąc o święcie 1 Maja La Pasionaria nazwała je świętem, które jednoczy wszystkie siły postępowe. Mówi wspaniale, z takim ogniem i przejęciem, że rozumieją ją nawet ci, którzy nie znają ani jednego słowa po hiszpańsku.

— Robotnicy Polacy! — woła La Pasionaria. — Patrzenie i pomnienie, co oznacza ten widok roztaczający się na tym placu. Wojsko, które było dawniej instrumentem przemocy kapitalistycznej, dziś jest wojskiem całego narodu. Bohaterski naród polski przeżywał takie czasy, gdy wrogowie jego sądzili, że tak, jak potrafili zniszczyć budynki Warszawy, zniszczyli duszę narodu polskiego. Budynki mogli zniszczyć, ale duszy narodu, który chce być wolny, nie zniszczy żadna siła!

La Pasionaria zakończyła swe przemówienie okrzykiem na cześć narodu polskiego, obecnego zawsze tam, gdzie toczy się walka o wolność ludu.

Naprzeciwko trybuny honorowej ustawiły się poczty sztandarowe i szturmowe OM TUR, ZMNS, ZWM Wici, „Życie”, ZMD oraz inne. Pod trybuną poczty sztandarowe obu partii robotniczych: PPS i PPR, oraz KCZZ. Koło Grobu Nieznanego Żołnierza zamieć różnokolorowych sztandarów i transparentów z godłami partii i związków zawodowych. Wśród nieprzeliczonych, blisko 100-tysięcznych tłumów wybijały się koszulki OM TUR, płynące niby niebieska rzeka. Dalej, jak grzęda maków, pasowe krawaty ZMW na białym tle koszul. Tęczowy las sztandarów współdzielczych powiewa pod chmurami przepuszczającymi od czasu do czasu słońce. Opodał trybuny grupa chaluców w białych koszulach i czarnych chustkach wokół szyi, na niebieskim sztandarze kula ziemiska i napis głoszący prawo do niepodległości Palestyny. Organizacje młodzieżowe zajęły Ogród Saski, grupując się malowniczo pośród zieleni drzew. Zwraca uwagę zespół aktorskich Związków Zawodowych, uczestniczący w odbywającym się w Warszawie festiwalu świetlicowym. Obok czarnych mundurów górniczych z kolorowymi pióropuszcami na głowach barwne stroje regionalne ze Śląska. Nieco dalej grupa krakowska oraz teatr zespołu fabrycznego z Łodzi w oryginalnych kostiumach.

Nastrój pogodny i swobodny. Manifestujący przychodzą nie pod przymusem, lecz z własnej ochoty, by często ustąpić miejsca innym. Nie zorganizowani zgrupowali się wokół resztek pałacu Brühla i siedzą na rozwalonych jego dachach.

Formuje się blisko stutysięczny pochód, aby z Placu Zwycięstwa przejść ulicami Królewską i Krakowskim Przedmieściem. Pomiedzy pochodem a tłumami zalegającymi chodniki nawiązuje się nić porozumienia.

— Niech żyją pocztowcy! — woła ktoś. — Tylko niech nam paczki nie giną!

W odpowiedzi jeden z pocztowców wyjmuje z torby zalakowaną paczkę odpowiadając: — Jutro ją przyniosę!

Wspaniale maszerujących harcerzy witają oklaskami i okrzykami sympatii. Idą jak rzymscy triumfatorzy. Pochód byłych więźniów politycznych z białymi sztandarami w niebieskie pasy i w pasiakach narzucanych na ramiona budzi ogólny szmer:

— Dobrze, że chociaż ci się uratowali, ale ilu zginęło, nie żyje... — odzywają się głosy, a lzy kapią gęsto po twarzach.

Gorąco oklaskiwano też pochód dziewcząt z przedzalni, z poprzyipinanymi warkoczycami ze lnu, w białych, czerwonych, zielonych i niebieskich kolorach.

Do jakiego stopnia manifestacja nie była wyreżyserowana dowodzą okrzyki, jakimi witano przesuwający się pochód. BOS — Biuro Odbudowy Stolicy — został przyjęty wrogimi okrzykami. Ktoś zawołał: — Nawet słońce zasłoniło się chmurą! — Instytucja ta, ze względu na swoją

opieszalność w odbudowie Warszawy (powszechnie krążące wówczas powiedzenie: Boże, odbuduj stolicę!), nie cieszyła się sympatią. Przy pojawieniu się SPB — Społecznego Przedsiębiorstwa Budowy, któremu też ludność miała wiele do zarzucenia, odezwały się nieprzyjazne pomruki. „Społem” witano wołaniem: — Chcemy tańszych jajek!, a „Agryl”: — Gdzie mleko dla świata pracy!? Pusty samochód z napisem „Literatura” tłum powitał okrzykiem — Literatura wysiadła — nie ma jej! Od Polskiego Radia żądano lepszych programów.

Ten mój opis pierwszomajowych uroczystości 1947 r., zamieszczony w „Dzienniku Polskim”, przytaczam z niewielkimi skrótami ze względu na żywiowość i odmienność tamtego 1 maja od następnych bardziej już urzędowych pochodów.

POLSKI INSTYTUT PRASOZNAWCZY

W maju 1947 r. otrzymałem deklarację członkowską Polskiego Instytutu Prasoznawczego wraz z pismem następującej treści: „Red. Czermiński Adrian w miejscu. Z inicjatywy Związku Zawodowego Dziennikarzy R.P. powołany został ostatnio do życia — wzorem istniejących za granicą od wielu lat instytutów prasoznawczych — Polski Instytut Prasoznawczy.

Instytucje tego typu dowiodły już praktycznie, jak korzystną rolę odegrać mogą naukowe badania rozlicznych zagadnień doniosłej dziedziny społecznej, jaką jest prasa. Takie też zadania postawił sobie Polski Instytut Prasoznawczy.

Najważniejsze zamierzone prace Instytutu są następujące: 1) wskazanie metod pracy wydawniczej i dziennikarskiej dla nasycenia słowem drukowanym osiedli fabrycznych i wsi; 2) opracowanie metod pracy w wydawnictwach różnego typu; 3) studia nad związkiem i wpływami opinii publicznej i prasy; 4) zbieranie i opracowywanie materiałów z dziedziny historii organizacji, metod działania prasy itd.

To przykładowe (częściowo) wyliczenia zadań Instytutu dostatecznie rysuje znaczenie prac, które Instytut zamierza podjąć. Cele, które pracom naszym przyświecają, pozwalają się spodziewać poparcia ze strony Szanownego Kolegi.

Zarząd Polskiego Instytutu Prasoznawczego zwraca się zatem z propozycją przyjęcia przez Kolegę członkostwa naszego Stowarzyszenia. Załączoną deklarację prosimy po wypełnieniu przesłać pod adresem Instytutu — Warszawa, ul. Rozbrat 44a. Za zarząd: sekretarz dr Bachrach”.

W deklaracji należało wymienić nazwisko, imię, adres, zawód i stanowisko oraz adres miejsca pracy i zadeklarować jednocześnie składkę członkowską w wysokości 100 zł miesięcznie.

Nie pamiętam, czy ostatecznie zostałem członkiem Instytutu. Natomiast w kilka lat później włączyłem się do prac Sekcji Prasoznawczej SDP, biorąc czynny udział w przygotowaniach do obchodów 300-lecia prasy polskiej.

OSTATNI OKRES WSPÓLPRACY Z „DZIENNIKIEM”

Już z wiosną 1947 r. rozpoczęły się kłopoty z przesyłaniem wiadomości do „Dziennika Polskiego”. Jego warszawski oddział stawał się coraz bardziej uciążliwy dla „Czytelnika”, z którego pomieszczeń nadawałem telefonicznie wiadomości do Krakowa od dziesiątej wieczór do późnych godzin nocnych. Nieraz, gdy zepsuły się telefony, wracałem do domu około trzeciej po północy, gdy było coś bardzo pilnego do nadania.

Własnego pokoiku oddział nadal nie posiadał, co było winą wszechmocnego Borejszy, który nie doceniał znaczenia warszawskiego oddziału „Dziennika”. Poza tym nie był do mnie życzliwie usposobiony. Nie było między nami żadnej nici porozumienia. Nadając późnym wieczorem wiadomości, korzystałem raczej z gościnności SAP-u, którego redakcja mieściła się na Wiejskiej o dwa kroki od „Czytelnika”.

Podobnie jak swego czasu w PAP-ie, miałem do dyspozycji odbite kartki serwisu wieczornego SAP-u, którego „Dziennik Polski” był prenumeratorem. Rafał Praga, redaktor naczelny SAP-u i „Expressu Wieczornego” zgodził się, abym nadając opracowanie SAP-owskich materiałów ich telefonem dołączał również wiadomości własne. Niebawem SAP miał wprowadzić dalekopisowe połączenie z Krakowem. Donosiłem o tym Balickiemu w jednym z listów:

„W najbliższym czasie SAP będzie miał regularną obsługę dalekopisową z Krakowem do »Naprzodu«. Pytałem o warunki, podano mi orientacyjnie: za robienie w Krakowie odpisów dalekopisu SAP dla »Dziennika« 15 000 zł miesięcznie plus normalny abonament za serwis przesyłany dotychczas pocztą. Ponieważ SAP przenosi się obecnie z ulicy Wiejskiej do gmachu »Robotnika« w Aleje Jerozolimskie, trudno by mi było w obecnych godzinach nadawać wiadomości z ich serwisu wieczornego”.

W ciągu roku łączność Warszawy z Krakowem poprawiła się znacznie i „Dziennik Polski” mógł już odbierać równocześnie z Warszawą zarówno serwis PAP-u, jak SAP-u, a także RAP-u i API, czytelnikowskiej Agencji Prasowo-Informacyjnej, której działalność zaktywizowała się w tym czasie i która stawała się oczkiem w głowie Borejszy. Coraz sprawniejszy kolportaż prasy stołecznej sprawił, że warszawskie pisma pojawiały się w Krakowie jeszcze tego samego dnia rano, co prawda w nieco innej mutacji.

Toteż na łamach „Dziennika” ukazywało się coraz mniej wiadomości

sygnowanych moimi inicjałami. Po pewnym czasie zniknął ze szpalt „Dziennika” niezmiernie operatywny Woydyłło, utrzymał się tylko doskonały publicysta Podoski. Pozostawał mi więc praktycznie w „Dzienniku” jeszcze Sejm, kronika „Życie Warszawy”, sporadyczne informacje z innych źródeł niż agencyjne biuletyny, oraz korespondencje i reportaże.

Istnienie oddziału „Dziennika Polskiego” w Warszawie w tej właściwie jednoosobowej i zakonspirowanej niejako formie stawało się więc problematyczne. Tym więcej, że „Dziennik Polski” zaczął powoli schodzić na drugie miejsce jako pismo ogólnopolskie.

Wszystko to razem zapewne zadecydowało w Krakowie, że oddział warszawski „Dziennika” stał się zbędny, a wraz z nim moja osoba. Otrzymałem więc z Delegatury Krakowskiej „Czytelnika” pismo z datą 30 sierpnia 1947 r. wypowiadającą mi pracę w „Dzienniku Polskim” z dniem 28 lutego 1948 r.

Byłem zaskoczony tym, że tak zyczliwie usposobiony do mnie i tak lojalny dotychczas Balicki nie uprzedził mnie o tym. Musiały zajść jakieś przyczyny, których nie domyślałem się i których do dzisiaj nie znam. Czekałem więc wyjaśnień od Balickiego przypuszczając, że nie zostawi mnie na lodzie i że nie będę musiał na własną rękę szukać jakiegось redakcyjnego etatu. W zasadzie powinien był zająć się mną wszechwładny Borejsza i umieścić w którymś z czytelnikowskich pism, ale nie darzył mnie on sympatią i nie zatroszczył się o to. Jedynie Stefan Świerzewski, redaktor API, zaproponował mi prowadzenie sprawozdań sejmowych dla pism czytelnikowskich, niezależnie od obsługi „Dziennika”, ale bez żadnego etatu.

Wypowiedzenie mi umowy przez Delegaturę Krakowską nie wpłynęło tymczasem na dalszy bieg mojej współpracy z Krakowem. Posyłałem nadal telefoniczne informacje i wiadomości, wykorzystywane przez „Dziennik”, oraz korespondencje z prac Sejmu i reportaże.

W trzecią rocznicę powstania warszawskiego ukazała się 3 sierpnia 1947 r. moja korespondencja opisująca, jak Warszawa uczciła swoich bohaterów: „Wojsko i harcerze zaciągnęli warty honorowe na miejscach upamiętnionych egzekucjami, a znajdujące się jeszcze na mieście groby zasypano kwiatami. Przechodząc obok miejsc uświęconych krwią powstańców oraz ofiar hitlerowskiego terroru, mężczyźni odkrywali głowy, a wojskowi salutowali. Żałobne nabożeństwo odprawiono we wszystkich warszawskich kościołach”.

W październiku na specjalne życzenie Balickiego pojechałem na uroczystości żałobne Tomasza Nocznickiego, jednego z najbardziej aktywnych „zaraniarzy”, członka organizacji niepodległościowych, rzecznika antyfaszystowskiego frontu ludowego. Zwłoki Nocznickiego, zmarłego w Słomnikach pod Krakowem, sprowadzono do wsi Lipie w powiecie

grójeckim, gdzie znajdował się dom tego weterana ruchu ludowego. Na czele olbrzymiego korowodu 50 limuzyn z przedstawicielami rządu, partii politycznych i organizacji społecznych, jechała ciężarówka ubrana zielonymi sztandarami SL, a przy samochodzie z trumną straż honorowa Krakusów w tradycyjnych sukmanach i czapkach z pawimi piórami. Dalej 150 ciężarówek wiozło 6000 delegatów ludowych z całej Polski. Po drodze przyłączyła się do konduktu konna banderia grójeckiego przysposobienia rolniczo-wojskowego.

Kiedy żałobny kondukt zbliżył się do domku Nocznickiego, sąsiedzi odkryli głowy mówiąc: — „Tomasz gospodarował tu nawet wtedy, jak był przed wojną senatorem. Dobry człowiek. Zawsze pomagał, gdy kto był w biedzie. Ale walka szła z nim w tamtych czasach na całego[...]”.

Na boisku zamkniętym sztandarami ustawiły się delegacje w barwnych strojach ludowych ze wszystkich stron Polski. Na przedzie delegacja Krakusów, dalej Górale i Ślązacy, Łowiczanie i Księżacy. Ci, którzy nie zmieścili się w czworoboku, ażeby lepiej widzieć powchodzili na kalenice, siadając okrakiem na dachach chat. Młodzież powdrapywała się na drzewa, na których, pośród żółknących liści, było widać dziesiątki dziewczęcych i chłopięcych główek. Co przemyślniejsi zajęli okna starożytnego wiatraka.

Banderia na koniach i z muzyką ustawiła się obok trybuny, na której spoczęła trumna ze szczątkami Nocznickiego, a pod nią urna z ziemią racławicką. Na ławach, przed trybuną, usiedli dostojnicy państwowi i przedstawiciele czeskiego Svazu przybyli na uroczystość pogrzebową.

Po wygłoszeniu oficjalnych przemówień zabrał głos wnuk Nocznickiego, Tomasz Nocznicki, dziękując przybyłym na uroczystość pogrzebową i za pamięć o swoim dziadku. Trumnę ponieśli na cmentarz posłowie na Sejm. Ostatnie modły nad trumną odprawił miejscowy ksiądz, a grób zamknęła płyta z napisem: „Śp. Tomaszowi Nocznickiemu — towarzyszowi i organizatorowi postępowego ruchu ludowego, pisarzowi, swemu przywódcy — chłopcy”.

Tym reportażem z ostatniej na tak wielką skalę uroczystości pogrzebowej po wojnie zamknęła się moja publicystyczna współpraca z „Dziennikiem Polskim”, trwająca półtora roku. Potem, jeszcze do połowy stycznia 1948 r., ukazywały się telefonicznie nadawane przeze mnie informacje i wiadomości, sprawozdania sejmowe, korespondencje; wreszcie zniknąłem całkowicie ze szpał „Dziennika” aby przejść z wydawnictw czytelnikowskich do wydawnictw „Wiedzy” jako kierownik działu kulturalnego Socjalistycznej Agencji Prasowej i publicysta „Expressu Wieczornego”.